Należytość pocztową opłacono gotówką.

Murzynek.



Nakładem
Sodalicji św. Piotra Klawera
dla misyj afrykańskich.

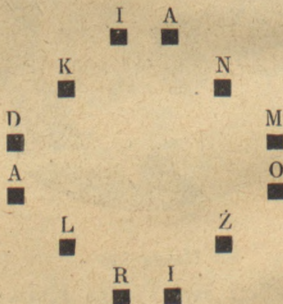
Rok XV. Luty 1927. Nr. 2.

Prenumeraty i ofiary

przesyłać można pod następującemi adresami:

Warszawa: Sodalicja Klawerjańska ul. Warecka 10, m. 5. **Kraków:** ul. św. Marka 25. — **Poznań:** ul. Szymańskiego 6. — **Wilno:** ul Sawicz, 1 m. 4 II. p. — **Częstochowa:** ul. Panny Marji, Nr. 73 (aleje) — **Gniezno:** p. Anna Potulna, ul. Kolegjaty 2. — **Kielce:** p. Marja Kasperska, ul. Bazarowa 16, m. 8. — **Siedlce:** p. Jan Sapiecha, ul. Warszawska 10. — **Wrocław:** Hirschstrasse 33. — **Rzym:** Sodalizio di S. Pietro Claver **(Roma 23)**, via dell'Olmata 16. — **Ameryka:** Sodality of St. Peter Claver 1219, Fullerton Building **St. Louis, Mo.**

Łamigłówka kołowa.



Litery na okręgu ułożyć w ten sposób, by utworzyły nazwę góry w Afryce.

(Rozwiązanie w następnym numerze.)

Trafne rozwiązanie łamigłówki z Nr. 10 nadesłał Włodzimierz Kietliński.



Sierotki.

(Z Wikarjatu apost. Antsiraby — zach. Madagaskar.)

Przed kilku miesiącami wyrządził straszny cyklon znaczne szkody w przytułku dla sierot w Ambatolampy (Madagaskar), prowadzonym przez SS. ze Zgromadzenia Opatrzności. Na wieść o tem wysłała Sodalicja św. Piotra Klawera zapomogę dla ciężko dotkniętych. Siostra Marja-Ludwika dziękuje za nią w słowach niżej podanych, dołączając do swego listu liścik jednej z wychowanek zakładu, przyjętej doń niedawno wraz z dwiema siostrzyczkami. Liścik ten, skierowany do generalnej Kierowniczki Sodalicji, podajemy w dosłownem tłumaczeniu. Słowa w nawiasach dodane zostały przez redakcję dla lepszego zrozumienia treści.

„Ponieważ okres deszczów dobiega końca i dzięki otrzymanemu darowi Przyjaciół Misyj, zabieramy się do naprawy uszkodzonych kilka miesięcy temu budynków. Mimo szkód doznanych i mimo idących w ślad za niemi wydatków, przygarnęła nasza Czcigodna Matka Przełożona podczas jednej ze swych wędrówek w po-

20 I 27. 17.660.

łudniowe okolice trzy nowe sierotki i przyprowadziła z sobą do Ambatolampy. Przedstawiając nam zaś te nowe mieszkanki, rzekła: „Oto trzy zadatki, zapewniające nam naprawę budynków". I ufność jej nie została zawiedziona, gdyż oto Sodalicja pospieszyła nam z pomocą.

By sprawić radość generalnej Kierowniczce Sodalicji postanowiła najstarsza z trzech dziewczynek opisać jej swoją historję; gdy jej się trochę pomoże, myślę, że potrafi. Trzy te sierotki są siostrami; prócz nich są jeszcze w domu u ojca drugie trzy. Są to dzieci jednej z naszych dawnych wychowanek z Antsiraby, która właśnie zmarła. Ojciec ich, zatrudniony także w Misji w Antsirabie, dawny uczeń, pobiera bardzo skromne wynagrodzenie.

W obliczu tego nieszczęścia i niedostatku, ośmieliłyśmy się naturalnie liczyć na dobroć Sodalicji i jej ofiarnych dobroczyńców. Wszak prawda, że nie nazwiecie tego zuchwalstwem?"

List małej Łucji.

Ambatolampy...

Droga Mamusiu biała moja i moich 5 sióstr!

Matka moja (Przełożona Domu Sierót) ona powiedziała przed sześciu miesiącami: Ty z twojemi siostrzyczkami już więcej nie (jesteś) nieszczęśliwa, masz dobrą Mamusię w Rzymie. Miałam z tego dużo pociechy, bo moja mamusia umarła! Ciężko nam zawsze bardzo na sercu się robi, gdy myślimy o niej, ona nas tak kochała. Nasze towarzyszki mają swoje mamusie, a my już nie; to też potrzebujemy drugiej, by ją zastąpiła. Matka (przełożona) powiedziała tak: Twoja Mamusia w Rzymie kocha cię jak twoja mamusia, która umarła; więc ucieszyłam się bardzo.

Jeśli to tak jest, to opowiem Ci naszą historję; jest długa, potrzeba mi wiele dni, bo trudno mówić po francusku. Moja mamusia przyszła bardzo maleńka do Matek w Antsirabie (miała mniejwięcej sześć lat), nie miała nigdy mamusi, wchodziła do ludzi (którzy) chcieli jej dać ryżu i spać. Pewnego dnia zaprowadzono ją do Matek, gdzie stała się duża i wyszła (zamąż) za mojego tatusia.

Potem to zyskaliśmy sześć sióstr; jedna maleńka powróciła prędko do Raju.

Mamusia kaszleć długo, bardzo długo, Tatuś dobrze ją pielęgnować, wydać wszystkie swe grosze, by kupić fanafody (lekarstwa), nawet nieraz sprzedawał suknie mamusi; chrześcijanie nam pomagać.

Wkońcu nie przeszkodziło to jednak śmierci mojej biednej mamusi. Wszystko to smutne było właśnie, kiedy Czcigodna Matka Józefa przyszła odwiedzić Matki w Antsirabie i miała nieszczęście (dowiedzieć się, że) jeden dom usiadł na ziemi (kiedy zabudowania w Ambatolampie zniszczył huragan) i mimo to wzięła nas za rękę i zaprowadziła tutaj. W Antsirabie (zostawić nas) nie mogła, bo mój tatuś za smutny, przychodzić zaczęsto nas odwiedzać, a to psuje przepisy.

Teraz już oddawna chciałam napisać, by poprosić, byś została naszą mamusią! To Ci da sześć małych córeczek, sześć małych dla Ciebie i dla tych Pań, Ci pomagać.

Dziś nareszcie to robię.

Ja nazywam się Łucja; moja starsza siostra (nazywa się) Józefina, jest w Antsirabie, by opiekować się siostrą Bertą i Karoliną. Tutaj są ze mną Aniela i Noelina; nasze serce już nie

(jest) ciężkie, kiedy sobie myślimy, że znalazłyśmy mamusię białą z białem sercem. Oto moje obie siostry i ja przesyłamy Ci nasze trzy imiona:

Łucja Razoanindrina,
Aniela Ravaonjanahary,
Noelina Razoa.

Veloma, Mamusiu biała, prawda, że kochasz swe małe, które są z Tobą, żebyś im była mamusią? Czy widujesz czasem świętego Papieża? My go kochamy bardzo także, on jest naszym świętym Papieżem. I, jeśli można, przesyłamy dla niego dużą paczkę pokłonów; ale może tego tak powiedzieć nie można, wtedy nie powiedz tego, droga Mamusiu.

Całuję Twe białe ręce i jestem u Twych kolan (by Ci) powiedzieć że (jestem) Twoja mała córeczka Łucja. Moje obie siostrzyczki są w kościele; są rekolekcje dla dzieci.



Jak Jan Massensa został księdzem.

1. Sierota murzyński sprzedany ośm razy.

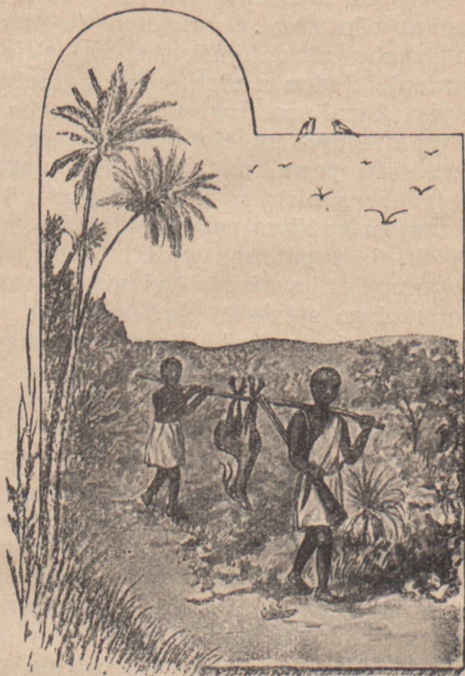
Nazywano go Massensą. Był to przydomek pogardliwy, oznacza bowiem czarną mrówkę o dużej, grubej głowie, której obawia się i unika każdy dla ostrych kleszczy i nieprzyjemnego zapachu. Od najwcześniejszej młodości nawykł do twardej, ciężkiej pracy. Rodziców swych nie znał nigdy. Zamiast czułego spojrzenia kochającej matki, spotykał zawsze i wszędzie obojętne lub surowe twarze. W słowach, do niego skierowanych, nie było nigdy miłości ani współczucia. Oznajmiały one tylko rozkazy, po których

zwykły były następować bolesne uderzenia, jeśli malec ociągał się z wykonaniem.

Wystawiono Massensę jako towar na rynku i sprzedano ośm razy. O trzech ze swoich „właścicieli“ zachował chłopiec jeszcze jakie takie wspomnienie. Jeden z nich, człek poczciwy, dobroduszny, kazał malcowi nosić za sobą fajkę. Służba ta nie była za ciężka. Polegała ona na towarzyszeniu panu na zebrania, umieszczaniu się podczas nich za jego miejscem i podawaniu mu, za każdym razem, gdy tego zażądał, długiej fajki, zapalonej wpierw przy najbliższym ogniu. Ponieważ nie był bity nigdy, a ze stołu pańskiego spływały nań smaczne resztki, podobało mu się to życie i czuł się szczęśliwy. W rok potem jednak przeszedł Massensa w inne ręce. Po tej zmianie nastąpiła niebawem druga, trzecia, czwarta. Chłopak zgodził się z losem i myślał, że tak już być musi.

Takim to sposobem dostał się pewnego dnia w posiadanie starej murzynki, która używała go do noszenia wody, zbierania chrustu w lesie i tym podobnych posług. Resztę czasu spędzał w chacie przy starej. Nowa „pani“ gderała nań i wyzywała od rana do wieczora, biła dwa do trzech razy dziennie i troskliwie starała się o to, by mu dawać możliwie jak najmniej do jedzenia. Massensa, który lubił przebywanie na świeżem powietrzu i rozrywką z rówieśnikami, starał się zgrabnie mnożyć wędrówki po wodę, przewracając niby to przypadkiem napełnioną banię, lub stawiając ją tak, że ją stara potrącić musiała... Potem trzeba było oczywiście wyruszać po nowy zapas. Niestety jednak podstępy te wydały się bardzo prędko. Dostały się Massensie dwa czy trzy porządne policzki, ale po-

nieważ nawykł już był do tego, wydawało mu się i to życie, jeśli nie świetne, to jednak całkiem znośne.



Nosił z radością połowę upolowanej zdobyczy.

Po śmierci właścicielki odziedziczyli spadkobiercy jej wraz z naczyniem kuchennem i kurami także i niewolnika. Massensa przypadł w udziale wesołemu „panu“, liczącemu lat około trzydzieści, a cieszącemu się na całą okolicę sławą najśmielszego myśliwego. Wdzieranie się w najdziksze zarośla, stawanie godzinami na

czatach, podchodzenie bawołu, dzika lub antylopy, ściganie ranionego zwierza, aby mu zadać cios śmiertelny, oto całodzienne zajęcia Massensy u nowego pana. Chłopcu nie zbywało na siłach, nosił więc z radością połowę upolowanej zdobyczy. Był nadzwyczaj zręczny, nie znał co to zmęczenie i tak był rad z tego nowego trybu życia, prawie bezustannie na świeżem powietrzu! Ach, co to były za piękne dni przy boku tego nieustraszonego strzelca! I inne jeszcze były miłe chwile: ćwiartowanie zdobyczy w lesie, podziw i hołdy, jakie i na niego potrochu spadały, kiedy obładowani świeżem mięsem wracali do wioski, — potem podział wesoły, przy którym nie zapominano nikogo, a na końcu smakowite używanie... Nie, życie takie niechby się nie kończyło nigdy, myślał w owych chwilach Mansensa. Ale skończyło się ono jednak!

2. Wyzwolony wbrew woli.

„Będziesz wolnym“, oznajmił pewnego dnia strzelec swemu pomocnikowi. „Są w Landanie dobrzy biali ludzie, nazywają ich kapłanami prawdziwego Boga. Kupują młodych niewolników, by ich potem udarować wolnością. Ponieważ płacą dobrze, sprzedałem cię im“.

„Teraz koniec ze mną“, pomyślał Massensa. „Biali, którzy mnie chcą udarować wolnością! Uwolnić mnie, ale od czego? Zapewne od życia, tak, tak, niewątpliwie. Słyszałem już nieraz o tem, że są u nich wielkie kotły, w których gotują dzieci. I mnie to czeka napewno. Ci biali będą moimi ostatnimi właścicielami“. To ostatnie przypuszczenie biednego sieroty spełniło się, ale w jakżeż odmienny sposób!

W dwa tygodnie później znalazł się Massensa w istocie w Misji w Landanie. Włączono go

do drugiego oddziału wykupionej dziatwy. Wszystko co widział u swych nowych „panów" wprowadzało chłopca w niebywałe zdumienie. Wysokie domy, dźwięk dzwonów, regularne posiłki, szkoła... Jedna rzecz tylko przerażała go do głębi: w kuchni był olbrzymi kocioł... Spostrzegł go odrazu. „To on", zawołał i uciekł pełen lęku i grozy. Napróżno tłumaczono mu, że ten postrach budzący przedmiot służy jedynie do gotowania manioku, jaki on i jego towarzysze zjadają na obiad. Massensa wątpił wciąż i powtarzał uparcie: „Kocioł takich rozmiarów służy do czegoś innego niż do przyrządzania manioku" i nie przestawał obchodzić go trwożnie z daleka.

3. Niestrudzony pomocnik w Misji.

Misja w Landanie, niedawno założona, potrzebowała silnych robotników do uprawy pól. Młody Massensa, wysokiego wzrostu, muskularnej budowy, uczuł się więc prędko w swoim żywiole. Znalazł bowiem prace, które mu najwięcej przypadały do gustu i do których nawykł od najwcześniejszej młodości. Nie uchylał się też od żadnego wysiłku i mozołu. Wyróżniał się pilnością przy każdem zajęciu i kończył zawsze na czas, mimo pomocy, jaką na prawo i na lewo darzył ochotnie współtowarzyszów. Był radością i pociechą przełożonych. Stacja misyjna w Landanie musiała wtedy dbać i zabiegać nietylko o własne potrzeby i potrzeby placówek pomocniczych, ale zasilać cały Wikarjat. Co miesiąc przywoziły statki ładowne ciężkie paki, które składano w Misji. Powierzano je potem przeciągającym tędy i owędy karawanom, aby je dostawiły na miejsce przeznaczenia. Wyładowywanie i władowywanie towaru przedstawiało

trud niemały. Trzeba tu było mocnych, wytrzymałych plec i ramion. Pomoc chłopców z sierocińca nie wystarczała nieraz, wzywał wtedy braciszek, pod którego nadzorem znajdowały się owe roboty, i starszych uczniów, prosząc przełożonego szczególnie o silnego Massensę. On zaś, otrzymawszy pozwolenie, spieszył jakby na wesele. Dźwigał co najcięższe paki, ściągał ogrom-



Dźwigał co najcięższe paki.

ne, wypchane wory, zarażając pilnością swą i humorem także i resztę robotników. Uwijali się wszyscy na wyścigi i w kilku godzinach było po kłopocie. Jeden z Ojców misjonarzy, przyglądający się często młodocianym tragarzom, mawiał później nieraz: „Za każdym razem, gdy widzę Jana Massensę, kleryka, pobożnie modlącego się w kaplicy, to mimowoli staje mi przed oczyma dawny Jan tragarz w murzyńskiej przepasce z ogromną paką na głowie“.

Stacja misyjna stała się prędko dla biednego sieroty domem rodzinnym, ojczyzną. Przylgnął też do dobrych Ojców całem sercem. Pierwszy raz w życiu kochał i czuł się kochanym.

(Dokończenie nastąpi.)

Balambo i Rabiko, czyli dzik i przepiórka.

(Bajka malgalska.)

Pewnego dnia Balambo i Rabiko, dzik i przepiórka, pilnowali razem wołów w dolinie. W owych czasach dzik miał gęstym włosem pokryty ogon, przepiórka zaś była taka duża jak kura.

Nagle wielkie, czarne chmury nadciągnęły ze wschodu, gromadząc się na zachodzie. Dzik pomyślał zaraz o zbudowaniu sobie schronienia przed burzą, radząc przepiórce ukryć się wśród zarośli. Prędko zabrał się do roboty, pomagając sobie zębami przy zrywaniu krótkich gałęzi i traw. Zahuczał grzmot, błyskawice rozdarły niebo, deszcz lać zaczął jak z cebra. Równina zniknęła pod wodą. Miejsca pochyłe zamieniły się w strumienie. Przepiórka wkrótce przemokła do suchej nitki. Co tu począć? Zbliżyła się do schronienia Balamba i mówi:

— Udziel mi przytułku!

— Co? — odzywa się zwierz okrutny — leniuchu i tchórzu, śmiesz mnie prosić o to?... Zdrowo ci tak...

Burza nie ustawała, a nie zrażona ostrą odprawą przepiórka błagała uporczywie.

— Balambo, Balambo, ulituj się nademną!

Niecierpliwość, bardziej niż litość, skłoniła wreszcie Balambę do uchylenia drzwi naprzykrzonemu ptakowi ze słowami: „Zostań tu przy wejściu“.

— Nareszcie! — wykrzyknęła Rabiko. — Ale byłabym ci więcej obowiązana, gdybyś mi pozwolił ogrzać się przy swoim dobrym ogniu...

— Niech tak będzie — rzekł Balambo — lecz staraj się być grzeczną.

Przepiórka zbliżyła się do ognia i grzała się milutko, podczas gdy jegomość dzik zasnął snem głębokim, chrapiąc donośnie i nie myśląc nawet o obecności swego gościa.

Co do jejmości przepiórki, to chwila ta wydała jej się nader sprzyjającą do upieczenia pistacyj, które ukradła podczas swej wycieczki. Kiedy łupina dobrze już była zarumieniona, wydobyła zawartość i zgryzła, a rzucając resztki na ogień wywołała trzask tak silny, że Balambo się obudził.

— Co za hałasy wyprawiasz? — wykrzyknął.

— To polana suchego drzewa, tak trzeszczą.

Po chwili przepiórka upiekła znowu jeden owoc i ofiarowała dzikowi.

— Co? — odrzekł. — Myślisz, że dam się zatruć jedząc tę potrawę mi nieznaną. I ty sama miej się na baczności, bo nie chciałbym, byś zginęła w moich oczach.

Rabiko połknęła z przyjemnością pistację, odtrąconą przez gospodarza.

— A poznaję cię, przywłaszczycielko cudzego mienia, nie brzydzisz się obżarstwem — krzyknął zwierz o długim ryju, widząc po minie przepiórki, że zjadła coś dobrego. — Skąd wzięłaś ten pokarm, ażebym i ja mógł kiedy nazbierać go tyle, by nasycić zwierzę moich rozmiarów?

— Tam — odpowiedziała. — W kącie, gdzie nikt nie może mnie wykryć...

— Zaprowadzisz mnie tam?

— Dobrze, ale pod warunkiem, że nic nie wyrwiesz, że kroki twoje nie zostawią śladów nóg na ziemi, że nikt nie posłyszy twego kwiku itd. itd. Inaczej przyjdzie właściciel i zabije cię.

— Wszystko to bardzo trudne — odpowiedział Balambo — ale widzę, że znasz doskonale moje przyzwyczajenia.

— Powiedziałam jak myślałam, bądź pewien.

Ciemna noc zapadła, nie przeszkodziło im to jednak wybrać się w drogę na łupież arachidów *). W mgnieniu oka dzik wszystko spustoszył, wszystko

*) Arachidy inaczej pistacje ziemne.

wykopał. Biedna przepiórka! Jakież było jej przerażenie na widok sposobu, w jaki zwierz dziki zastosował się do polecenia. Nie tracąc czasu, pomyślała o odwrocie, towarzysz poszedł w jej ślady. Idąc, potrąciła Rabiko sidła, te otworzyły się i Balambo wpadł. Bum. Bum... Bęc... I oto złapany w ciasnej i głębokiej dziurze, wydobyć się ani sposobu.

Przepiórka próbowała mu pomóc, lecz próżne wysiłki. Udzieliła więc tylko dobrych rad więźniowi.

— Gryź te rośliny, mające bardzo niemiły zapach, a potem udawaj nieżywego.

Poczem oddaliła się przezornie.

Nadchodzi właściciel ogrodu z żoną.

Co za bolesna niespodzianka, takie spustoszenie! Spostrzegają złoczyńcę w dole, gotują się do zabicia...

— Nieżywy — mówi mężczyzna — już cuchnie, zostawmy go.

— Uderz go kilka razy dla pewności.

— Ależ. Chciałabyś bym go posiekał na kawałki i by nic z niego nie było!

Kobieta zamilkła, a mąż jej rozpalił ogień. Co za smaczna pieczeń będzie!

Gdy wszystko drzewo się spaliło i został tylko żar przepuszony, gospodarze poszli po dzika i umieścili go na węglach, a oczekując chwili schrupania tak dobrej potrawy, usiedli w pobliżu. Ale naraz dzik uderza kopytem, rozrzuca żar i popiół. Zapaliło się na gospodarzu odzienie, a zwierz ucieka co sił starczyło.

Żona, której ogień nie tknął, puściła się w pogoń za złodziejem, aż do sąsiedniego lasu. Zdołała pochwycić go za ogon, napełniając włosiem kieszenie w miarę tego, jak pozostawało w jej rękach.

Odtąd dziki i wieprze mają mały tylko ogonek, pozbawiony sierści.

Do małych ojców i matek chrzestnych dziatwy murzyńskiej!

W. O. Fr. Jan Collens, M. L., Liberja.

„Misjonarze pracujący wśród biednych pogan mają tę pociechę i radość, że widzą owoce swej pracy; większem jest wyrzeczenie się siebie tych, którzy poświęcają życie swe pracy dla Misyj we własnej Ojczyźnie, zbierając dla Misjonarzy nieodzowne do nawracania pogan materjalne środki.

Myślę sobie często o tej chwili szczęśliwej kiedyś w niebie, kiedy to będzie nam danem zapoznać dobroczyńców Misyj z tym zastępem dziatwy murzyńskiej, która ich ofiarności zawdzięczać będzie szatę godową. Wiele z tych dziatek umiera młodo; nie wątpię, że u stóp Bożego tronu wspominają często z wdzięcznością swych ziemskich opiekunów i wyjednują dla nich przeobfite łaski.

Bez dzieci — smutnem byłoby i szarem życie Misjonarza. Kręcą się nieustannie około naszych misyjnych zabudowań, a śmielsze są, ufniejsze, otwartsze w stosunku do kapłana, niż dzieci w Europie. Mimo, że wzrastają w otoczeniu pogańskiem i patrzą się od kolebki na dzikie barbarzyńskie zwyczaje, nie brak im ujmujących rysów charakteru. Nieraz podziwiałem wprost ich uprzejmość, grzeczność we wzajemnem obcowaniu. Jeśli damy jednemu z nich kawałek chleba, woła niezwłocznie wszystkich swych towarzyszy i towarzyszki i obdziela skwapliwie każdego. Przez myśl mu nie przejdzie zjeść przysmak samemu, albo kryć się z nim przed przyjaciółmi.

Rodzice dumni są niezmiernie ze swoich pociech, a matki kochają je namiętnie. Często jedynie przez życzliwość okazaną dzieciom trafiamy do opierających się serc ojca lub matki. A jak starają się dzieci

raz ochrzczone pozyskać dla prawdziwej wiary rodziców i krewnych, by wszyscy im drodzy dzielili z niemi to wielkie dobrodziejstwo! Bóg wszechmocny działa nieraz cudownie właśnie poprzez te słabe i nieudolne narzędzia. Ubiegłego tygodnia mieliśmy aż trzykrotny wypadek, że drobne dzieci przybiegły do Misji, wzywając kapłana do umierających rodziców. Niektóre z nich nadają się doskonale na nauczycieli, kiedy to przygotowująca się do Chrztu św. stara babunia ani rusz nie może się wyuczyć modlitw i odpowiedzi katechizmowych. Cierpliwość tych malców nie zna granic.



Afryka.

(Ciąg dalszy.)

Klimat w Afryce.

Na północ i na południe od pasów, obfitujących w deszcze, leżą obszary pustynne. W Północnej Afryce, jak wiemy, leży największa na całym świecie pustynia Sahara; w południowej zaś mniejsza— Kalahari.

Kraje, położone najbardziej na północ i na południe, a więc najdalej od równika, mają klimat najbardziej umiarkowany, najprzyjemniejszy, zwłaszcza Kraj Przylądkowy, czyli Kapland.

Co do wybrzeży afrykańskich, to te posiadają klimat wilgotny z powodu bliskości morza.

Należy zaznaczyć że upały nie są ciągłe; zwykle dzień tylko bywa bardzo znojny; noce zaś przeciwnie są chłodne, a podczas suchej pory roku nawet zimne. Europejczycy, którzy przebywają w Afryce, uskarżają się na te gwałtowne zmiany temperatury.

W dzień kąpią się we własnym pocie, w nocy zaś drżą i szczękają zębami nawet pod dwiema wełnianemi kołdrami. Bywa i tak, że szron nad ranem pokrywa krzewy i ziemię. Wiadomo, że zimno najbardziej daje się we znaki podczas wilgotnego powietrza; w Afryce zaś nawet w lecie powietrze jest dość wilgotne. Te silne przeskoki pomiędzy ciepłotą dnia a nocy dają się nawet murzynom bardzo we znaki. Zaziębiają się też często, zwłaszcza nad ranem, kiedy ognie, przy których sypiają dla ogrzania się, gasną. Nad morzem, gdzie jest wilgotno, nawet mniejszy chłód wywołuje zaziębienie.

W pustyniach dzieje się nie lepiej. Kiedy promienie słońca rozpala piasek, można w nim nawet ugotować jajko. Bez grubego obuwia niepodobna stąpać po ziemi. Skoro jednak nastąpi noc, piasek szybko stygnie i ciepłota silnie i szybko spada, tak, iż nad ranem robi się dotkliwe zimno.

W Abisynji i gdzieindziej w górach wysokich, nawet niedaleko równika, jest inaczej, powietrze staje się tam chłodniejsze, im wyżej się podnosi ponad powierzchnię ziemi.

Zmienny, nierówny klimat Afryki jest nadzwyczaj niezdrowy nietylko dla Europejczyków, ale i dla rodowitych Afrykańczyków. Najgorsza jest febra, która napastuje przybyszów.

Ataki jej, jeżeli powtarzają się częściej, są zabójcze pomimo zażywania chininy. Roznosicielami febry są komary kłujące, zwane moskitami.

Prócz tego panują tam inne niebezpieczne choroby: dyzenterja, czyli krwawa biegunka, choroba śpiączki, także mająca za przyczynę pewien zarazek rozmnażający się we krwi, trąd i wiele innych.



Odpust zupełny,

którego pod zwykłemi warunkami dostąpić mogą członkowie i zelatorzy Sodalicji Klawerjańskiej, a więc i członkowie „Ligi dzieci dla Afryki".

24 lutego w dzień św. Macieja Apostoła.

Białe dziateczki, ja murzyniątko
Błagam nieśmiało,
Ażeby każde z was chociaż grosik
Na misje dało,
Bo żal mi braci, którzy nie znają
Dobrego Boga,
Lecz muszą bożkom składać pokłony,
Czcić czarta - wroga.

J. M. Ch.

Nakładem Sodalicji Klawerjańskiej.

Odbito czcionkami drukarni »Czasu« w Krakowie,
pod zarz. L. Wójcika.

Kto pozyska dwudziestu nowych prenumeratorów

„MURZYNKA“

i prześle ich adresy wraz z opłatą do najbliższej Filji Sodalicji św. Piotra Klawera, otrzyma w nagrodę

obraz Ojca św. Piusa XI.

wraz z Błogosławieństwcm Papieskiem.

Jeżeli która z kochanych Czytelniczek chce się poświęcić Panu Bogu i dla większej Jego chwały ratować dusze biednych murzynów, wstąpi jako **„Misjonarka-pomocnica“** do Sodalicji św. Piotra Klawera. — Prośby o przyjęcie należy zwracać do Generalnej Kierowniczki w Rzymie, Roma (23) Via dell'Olmata 16.



W intencji naszych Dobroczyńców

odprawiają Biskupi i Misjonarze afrykańscy

500 Mszy św. rocznie.



Mówcie o „Murzynku“ i dawajcie go do czytania innym.



Od dzieci polskich z Ameryki.

Dwoje ośmioletnich dzieci z Filadelfji, Władzio i Juljanna, dowiedziało się od starszych, że piękny kościół w Misji Katiola stał się ofiarą pożaru i że strapiony Ojciec Misjonarz zwrócił się zgorącą prośbą o pomoc do wszystkich przyjaciół afrykańskich Misyj (patrz „Echo" Nr. 7, str. 105 r. 1926). Dzieci postanowiły przyłożyć także i swoją cegiełkę pod nowy Dom Boży. Składały gorliwie po 5 centów — aż oto przysłały do Rzymu w końcu października — każde po dolarze — na Misję Katiola. Małym Przyjaciołom ślemy w imieniu tej tak ciężko doświadczonej Misji serdeczne: Bóg zapłać!



Wykaz nadesłanych składek zamieścimy w następnym numerze.
